

WZRUSZAJĄCA OPowieŚĆ O ODWADZE,
STRACIE I POSZUKIWANIU NOWEGO POCZĄTKU...

TO, CO POZOSTAŁO

KRISTEN GRANATA



KRISTEN GRANATA

**TO CO
POZOSTAŁO**

TŁUMACZENIE
MARCIN A. DOBKOWSKI



*Dla Jasmine, Carrie, Janae, Jennifer i Chelsea.
Dziękuję, że opowiedziałyście mi swoje historie
i pozwoliłyście mi podzielić się nimi ze światem.*

*Ta książka jest dla każdej kobiety
toczącej wewnętrzną walkę.
Nie jesteście same.*



OD AUTORKI

Zaczęłam pisać tę powieść, kiedy w ósmym miesiącu ciąży moja przyjaciółka straciła dziecko.

Uświadomiłam sobie wtedy, że nie miałam jej nic do powiedzenia. Nic, co mogłoby sprawić, że poczułaby się lepiej. Jestem pisarką, słowa to moja domena, więc stałam się bezradna, gdy mi ich zabrakło.

Kiedy ktoś przechodzi coś, czego ja nie doświadczyłam, staram się wczuć w jego położenie. Zastanawiam się, jak sama bym się czuła, jak zareagowała, co bym zrobiła. Ale to nie to samo.

Łatwo jest oceniać cudze zmagania z własnej perspektywy, nie znając czy nie rozumiejąc do końca sytuacji drugiej osoby. A nawet jeśli zdarzyło nam się przejść przez coś podobnego, to przecież każdy radzi sobie inaczej. Dlatego przed rozpoczęciem prac nad tą historią rozmawiałam z wieloma kobietami zmagającymi się z trudnościami, o których postanowiłam napisać.

Ta książka porusza tematy, które mogą nie być łatwe dla pewnych czytelników. Mam nadzieję, że udało mi się przedstawić je realistycznie, ale jednocześnie na tyle delikatnie, by nie okazały się zbyt przytłaczające.

Where Hope Comes From
Nikita Gill

It comes from heartache.
And it grows like the lone sapling
from the ashes of loss.
And it carves its way out
of the heart of tragedy and its heavy cost.
And it rises like a soldier thought lost
returning home to his mother.
And it smiles like the calm, clear sky
following weeks of one storm after another.

And maybe this is why when Pandora
opened the box that carried such calamities
which inflicted all of mankind,
gentle hope emerged from it too.

What else helps us
overcome suffering
if not by giving hope
a chance to bloom.



CALLIE

Dzisiaj nie wstanę z łóżka.

Ten materac jest niesamowity. Idealny stosunek twardości do miękkości. Kołdra też jest świetna. Puchowa, ale nie za ciepła. Prześcieradło wysokiej jakości. Oddychające. Dobrze wybrałam. Mogłabym tu spędzić cały dzień. Nie muszę iść na zakupy. Kto myśli o jedzeniu, gdy ma taki materac? Pranie? Przecież nie będę potrzebowała ubrań, jeśli zostanę w łóżku. To idealne rozwiązanie wszystkich życiowych problemów.

Ale co to za okropny zapach?

Długi, mokry język przesuwa się po moim policzku, a ja jęczę:

– Idź spać, Maverick.

Nie otwierając oczu, głaszczę miękką sierść golden retrievera. Jego język znów muska moją twarz, a mnie ponownie uderza fala odrażającego zapachu z psiego pyska. Marszczę nos i gwałtownie podrywam głowę z poduszki.

– Maverick, znowu zjadłeś swoją kupę?

Opuszcza łeb i kładzie go na przednich łapach.

– Nie patrz tak na mnie! Tym wzrokiem nic nie wskórasz.

Zeskakuje z łóżka, pędzi przez korytarz i merdając, czeka na mnie u szczytu schodów.

Chyba jednak muszę wstać.

Odrzucam kołdrę, opuszczam nogi na podłogę i wsuwam stopy w kaptcie. Kiedy się podnoszę, głowa pulsuje bólem, jakby ktoś zrzucił mi na nią kowadło. Powoli schodzę po spiralnych schodach, przytrzymując się zimnej, żelaznej poręczy. Maverick czeka już na dole. Od siły machnięć ogona całe jego ciało miota się niczym rekin wyjęty z wody.

– Jesteś zbyt pobudzony, kolego.

Odpowiada szczeniakiem i gna do kuchni. Docieram tam za nim chwiejnym krokiem. Do pomieszczenia wpada bystre słońce, które odbija się od marmurowego blatu i razi mnie w oczy. Chowam twarz w zgięciu łokcia i sycząc jak Drakula, pociągam za sznurek rolet.

Maverick kładzie się u moich stóp i szturcha mnie mokrym nosem w łydkę. Oboje podskakujemy, gdy rozlega się skrzypnięcie drzwi wejściowych, po czym pies mknie do przedpokoju.

Do kuchni wpada Paul, spocony po porannym joggingu, a ja wstrzymuję oddech, dopóki jego usta nie rozciągną się w uśmiechu.

– Dzień dobry, piękna.

Zalewa mnie fala ulgi.

– Dzień dobry. Jak ci się biegało?

– Cztery kilometry – odpowiada z dumą, po czym wyciąga butelkę wody z lodówki i odkręca zakrętkę.

Błękitna koszulka Under Armour opina mu szeroką klatkę piersiową, mięśnie ramion uwydatniają się przy każdym ruchu. Ma mokre, rozczochrane włosy i lśniącą skórę.

– Jak to możliwe, że wyglądasz tak seksownie po czterokilometrowym biegu? – Unoszę brew.

– Jak to możliwe, że wyglądasz tak seksownie zaraz

po przebudzeniu? – Uśmiecha się szeroko.

Prycham, bo doskonale wiem, że teraz przypominam bardziej trupa niż żywą istotę.

Paul się pochyła, by mnie pocałować, ale krzyżuję ramiona przed twarzą.

– Dopiero co dostałam buziaka od fana koprofagii, więc lepiej trzymaj się ode mnie z daleka.

Spogląda na Mavericka, który jakby wiedząc, że o nim mówimy, chowa się za rogiem kuchennej wyspy.

– Obrzydliwy z ciebie pies.

– Zadzwoń dzisiaj do weterynarza. Może będą wiedzieli, jak go oduczyć zjadania własnych odchodów.

– Wydaje mi się, że wszystkie psy wcinają swoje gówno. – Paul opiera się biodrem o blat.

– Musimy go lepiej pilnować na podwórku. Powstrzymać, zanim zdąży się do niego dostać. – Obchodzę wyspę, żeby przygotować śniadanie. – Czytałam kiedyś, że psy jedzą swoje odchody, gdy brakuje im witamin w diecie. To był chyba jakiś artykuł. A może Josie mi o tym powiedziała. Nie pamiętam. W każdym razie... – Zatrzymuję się i pstrykam palcami przed twarzą Paula. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Paul potrząsa głową, wodząc wzrokiem po moim ciele.

– Nie usłyszałem ani słowa, odkąd przeszedł obok w tych jedwabnych szortach.

– Nie żartuj. – Uśmiecham się i stawiam patelnię na kuchence. – Nic, czego byś wcześniej nie widział.

– A jednak wciąż na mnie działa. – Przysuwa się do mnie i kładzie dłoń na moich ramionach.

– Mam nadzieję, że to się nie zmieni – mruczę z zachętą pod wpływem jego lekkiego dotyku.

– A ja jestem pewny, że się nie zmieni.

Paul odchyła mi głowę i całuje mnie w szyję. Jedną rękę wsuwa pod moją koszulkę i obejmuje pierś, a drugą ściąga szorty. Wtulam się w jego ramię, pomiędzy rozchylnych warg wypuszczam długie westchnienie.

– Nie masz dzisiaj spotkania?

– Mam, a to oznacza, że musimy się pośpieszyć.

Wsuwa już dłoń między moje uda i wciska we mnie palec, kciukiem kreśli kółeczka na łechtaczce. Nogi mi drżą, więc chwytam się krawędzi blatu. Paul delikatnie popycha mnie do przodu, aż piersi przylegają mi do zimnego marmuru wyspy, po czym wchodzi we mnie.

– Kocham cię – szepcze mi do ucha, ściskając moje biodra, i zaczyna poruszać się we mnie powolnymi, kontrolowanymi ruchami.

Wyginam plecy, by wyjść naprzeciw jego pchnięciom. Wbijają się we mnie szybciej, mocniej, głębiej. Palcami wraca do pieszczona łechtaczki. Tempo narasta, a ja jęczę i wiję się pod jego dotykiem. Czuję, jak rozkosz wzbiera w moim wnętrzu, fala orgazmu rośnie i wkrótce mnie zalewa. Krzyczę, kiedy spazmy wstrząsają moim ciałem. Paul też szczytuje i głośno mruczy, gdy wypełnia mnie swoim gorącym nasieniem. Obejmuje mnie jeszcze przez chwilę, składając delikatne pocałunki na moim ramieniu, szyi, skroni.

– Tęskniłem za tym. Cieszę się, że w końcu jest jak dawniej.

– Ja też.

Cóż, to półprawda.

Powinno się rozkoszować tym uczuciem, bliskością i czułością Paula, ale mój umysł właśnie zaczyna analizować,

obliczać datę, godzinę, dzień cyklu. Ręce aż mnie świerzbią, żeby sięgnąć po telefon i wejść w apkę do śledzenia płodności, ale po raz pierwszy od trzech lat tego nie robię.

I po wczorajszej nocy nie zrobię tego już nigdy.

Paul klepie mnie po tyłku, odsuwa się i wciąga spodenki do biegania.

– Idę pod prysznic.

Wpatruję się w jego szerokie plecy i pewny siebie krok, kiedy wychodzi z kuchni z wysoko uniesioną głową, wolny od lęków, które mnie dręczą. Zalewają mnie wyrzuty sumienia, gdy myślę o wszystkim, przez co musiał przejść w ciągu ostatnich kilku lat. Stres, wizyty u lekarzy, moje łyzy.

Nigdy więcej.

Paul ma rację. Powinniśmy wrócić do tego, co było dawniej. Zanim opętał mnie pomysł założenia rodziny. Zanim popadłam w depresję i pociągnęłam go w ten dół za sobą. Zanim ludzie, którymi byliśmy, biorąc ślub, stali się sobie obcy.

Już czas położyć temu kres.

I to ja muszę to zrobić.

Mogę być lepsza.

Mogę znów być szczęśliwa.

Poprawiam koszulkę, podciągam szorty i zabieram się do przygotowania śniadania. Kuchnia to moje ulubione pomieszczenie w całym domu. Piękne marmurowe blaty, wysokie białe szafki, stalowe sprzęty. Paul kazał wykonawcy stworzyć ją dokładnie według mojej wizji. Twierdzi, że zrobił to, bo tak bardzo mnie kocha. Ja uważam, że w ten sposób zadbał, abym dla niego gotowała. Sam potrafi przypalić nawet wodę.

Czasami czuję się tak, jakbym żyła cudzym życiem, jakby

to wszystko było snem. Mieszkam w rezydencji w Orange County w Kalifornii, mój mąż jest współczesnym ucieleśnieniem Adonisa, nie muszę codziennie wstawać do pracy i spędzać w niej długich ośmiu godzin. Wszystko, czego potrzebuję, mam na wyciągnięcie ręki. Nie dorastałam w takich warunkach. Pochodzę z przeciętnej, średniozamożnej rodziny. Wszystko się zmieniło, kiedy na studiach poznałam Paula. Jesteśmy razem już dziewięć lat, a ja wciąż nie przywykłam do takiego stylu życia. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zdołała się do tego przyzwyczaić.

Gdy przekładam omelet ze szpinakiem i płacuszki z ziemniaków do szklanego pojemnika, Paul wraca do kuchni, ubrany w granatowy garnitur. Podaję mu torebkę z lunchem i kubek kawy.

– Dziękuję, piękna. Do zobaczenia wieczorem. – Całuje mnie w czubek głowy.

– Miłego dnia.

– Bądź grzeczny, śmierdzielu! – woła przez ramię.

Maverick unosi łeb; leży przy wyjściu na taras i grzeje się w płomie promieni słonecznych.

Życ nie umierać.

Kiedy słyszę trzaśnięcie drzwi, z ulgą wypuszczam powietrze. Wołałabym iść na górę i z powrotem położyć się do łóżka, ale jeśli ma być lepiej, muszę zacząć od zadbania o swój wygląd. Wlokę się więc po schodach do łazienki. Już dawno nie troszczyłam się o siebie. Już dawno nie troszczyłam się o cokolwiek innego niż zostanie matką.

Próbuj, w końcu się uda, powiadają.

Włączam światło, zsuwam spodenki od piżamy i zdejmuję koszulkę. Wstrzymuję oddech, gdy po raz pierwszy

tego ranka mój wzrok pada na odbicie w lustrze. Żołądek ściska mi się na widok ciemnopurpurowych plam wzdłuż lewego bicepsa. Zalewają mnie wspomnienia z zeszłej nocy.

Niech cię szlag, Maverick. Chciałam dziś zostać w łóżku.

Mrugam, by odgonić gorące łzy, zanim zdążą się uwolnić spod powiek. Chłodną logiką szybko zduszam w sobie emocje.

Paul wczoraj za dużo wypił i tyle. Wszystko, co tłumiliśmy przez ostatnie trzy lata, wyszło na światło dzienne.

To moja wina.

Nie powinnam była dopuścić do takiej sytuacji.

Nie powinnam była się odzywać.

Poprawię się.

To się więcej nie powtórzy.

Potrzebuję planu, a nie uzalania się nad sobą. Oceniam więc wielkość siniaków i w myślach przeglądam garderobę w poszukiwaniu odpowiedniego swetra. Mam nadzieję, że dziś będzie na tyle zimno, by w takim ubraniu nie zwrócić na siebie uwagi. A nawet jeśli zrobi się ciepło, wybiorę kardigan z rękawami trzy czwarte. Ten nie powinien się zbyt rzucić w oczy.

Głęboki wdech przez nos i wydech przez usta.

Maverick.

Łóżko king size.

Garderoba.

Kuchnia marzeń.

Basen przy domu.

Mercedes.

– Nic mi nie jest – mówię do swojego odbicia. – Wszystko w porządku.

Odkręcam kurek pod prysznicem i wchodzę pod strumień ciepłej wody. Zanim się umyję, chęć płaczu minie

i znów będę w stanie swobodnie oddychać.

Owijam się ręcznikiem i z łazienki przechodzę do garderoby. Na długą, biało-żółtą, kwiecistą sukienkę zarzucam rozpięty bladożółty sweter, który idealnie zakrywa ślady na ramieniu. Kolejne trzydzieści minut spędzam na malowaniu kresek na powiekach, nakładaniu tuszu na rzęsy i przeciąganiu prostownicą po falowanych blond włosach, by ujarzmić je tak, jak wiem, że Paul lubi. Założywszy swoją „zbroję”, prostuję ramiona przed lustrem i wzdycham. Jestem gotowa zacząć ten dzień.

Na dźwięk sandałów na schodach mój nazbyt gorliwy pies pędzi w stronę wyjścia.

– Gotowy na spacer, Mav?

Merda ogonem i kręci się w kółko. Gdy zakładam mu smycz, z zewnątrz dobiega głośny huk. Wzdrygam się, a Maverick podskakuje, drapie w drzwi i szczeka jak szalony.

– Nie za wcześnie na fajerwerki?

Czwarty lipca dopiero za tydzień. Poza tym jest dziewiąta rano.

Odchyłam kremową zasłonę i wyglądam przez okno. Naprzeciwko, przed domem Josie, zatrzymała się biała furgonetka. Cóż, kiedyś była biała, teraz widać jedynie plamy białej farby otoczone pomarańczowymi połączeniami rdzy rozpełzającej się po metalu. Skrzynia ładunkowa pojazdu przykryta jest niebieską plandeką, przymocowaną żółtą taśmą transportową. Z rury wydechowej bucha gęsty, czarny dym, wlokący się za samochodem. Wydech wozu strzela ponownie, czym wywołuje kolejny atak szczekania Mavericka.

– W porządku, kolego. Wystarczy. – Pochyliłam się, aby poklepać go po łbie, ale tkwiąc wciąż z nosem przy szybie.

Drzwi kierowcy się otwierają i z szoferki wysiada mężczyzna. Granatową czapkę baseballową naciągnął nisko na oczy. Ma na sobie biały podkoszulek, wymięty i pokryty brązowymi plamami, oraz dżinsy podarte, a nie modnie poprzecierane, i równie brudne, co T-shirt. Obchodzi auto i idzie alejką prowadzącą na tył domu Josie.

– To musi być ten nowy ogrodnik.

Maverick przechyla łeb, jakby słuchał tego, co mówię.

Mężczyzna znika na podwórku, co jest dziwne, bo na podjeździe nie widać lexusa Josie. Czyżby dała komuś obcemu kod do tylnej furtki? A może zostawiła ją dla niego otwartą, zanim wyszła? To do niej niepodobne, ale faktycznie trochę desperacko poszukiwaliśmy nowej firmy ogrodniczej, odkąd jednego z pracowników poprzedniej przyłapano na romansie z naszą sąsiadką, panią Nelson. Jeśli Josie znalazła kogoś godnego zaufania, potrzebuję zdobyć jego wizytówkę. Paul będzie zachwycony. Nasze krzewy wymagają przycięcia, a chwasty przebijają się już przez kostkę na podjeździe.

– Chodź, kolego. – Chwytam okulary słoneczne z konsoli w przedpokoju i wychodzę z Maverickiem przez frontowe drzwi.

Kiedy przechodzimy przez ulicę, pies z nosem przy ziemi ciągnie mnie w górę brukowanej ścieżki. Bramka jest uchylona, więc tuż za Maverickiem wpadam na podwórko za domem. Wygląda podobnie jak moje. Prostokątny basen, prawie identyczne meble ogrodowe. Tyle że podczas gdy moje jest ledwo żywe, podwórko Josie tętni energią. Pistolety na wodę, rampy deskorolkowe i piłki do każdego rodzaju sportu walają się po trawniku. Od razu widać, że mieszka tu rodzina. Josie często narzeka na bałagan, ale ja odda-

łabym wszystko, by nadepnąć na klocek Lego należący do mojego dziecka.

Mężczyzna stoi przodem do altanki przy basenie, tyłem do mnie, jedną rękę opiera o biodro, drugą trzyma przy ustach brązową butelkę.

No to tyle, jeśli chodzi o znalezienie rzetelnego ogrodnika.

Zatrzymuję się kilka metrów za nim, owijam smycz Mavericka wokół dłoni, by powstrzymać go przed dalszym szarpaniem.

– Nie powinien pan pić w pracy.

Mężczyzna się odwraca i obrzuca mnie tak ponurym spojrzeniem, aż cała drzę. Kiedy wpatruje się we mnie tymi stalowoniebieskimi oczami, pod daszkiem czapki dostrzegam głęboką zmarszczkę między ciemnymi brwiami. Nieogolone szczęki zaciska, jakby tłumiał fizyczny ból. Włoski na ramionach jeżą mi się ze strachu, gdy uświadamiam sobie, w co się wpakowałam.

Nie powinnam była przychodzić tu sama.

Maverick wywija ogonem i prze naprzód, by zbliżyć się do obcego, najwyraźniej obojętny na potencjalne niebezpieczeństwo, w jakim się znaleźliśmy.

– Ja... przepraszam. – Odciągam psa. – Nie chciałam cię przestraszyć. Mieszkam po drugiej stronie ulicy.

Świetny pomysł. Śmiało, powiedz mordercy, gdzie mieszkasz.

Nie odpowiada. Nie przedstawia się. Nadal lustruje mnie tym niewzruszonym, lodowatym spojrzeniem. To dla mnie zbyt wiele. Zbyt intensywnie, abym to wytrzymała. Spuszczam więc wzrok i przenoszę go na resztę jego ciała.

Mężczyzna jest wysoki, ma silne, szerokie barki. Koszula ciasno opina mu pierś. Mięśnie prężące się na ramionach to

coś więcej niż napompowany biceps i triceps. Wygląda jak wyrzeźbiony z kamienia, perfekcyjny w każdym calu. Dzieło sztuki, które mogliby podziwiać turyści z całego świata.

Jest piękny.

Z drugiej strony prawdopodobnie to samo mówiła każda kobieta o Tedzie Bundym, zanim ten ją zabił.

Powinam już iść, biegiem wrócić do domu, ale czuję się sparaliżowana, pochłonięta enigmatyczną energią krążącą wokół tego mężczyzny niczym tornado wściekłości i agonii.

A ja stoję mu na drodze.

– Ja, ehm... – Z trudem przepycham ślinę przez ściśnięte gardło. – My potrzebujemy nowego ogrodnika. Zauważyłam, że przyszedłeś, i pomyślałam, że poproszę też o ofertę dla nas. – Znów przełykam ślinę, spoglądając na butelkę piwa błyszczącą w słońcu. – Trochę za wcześnie na picie, nie sądzisz? To znaczy, trzeba być czujnym podczas obsługi ciężkiego sprzętu. Nie byłoby miło stracić stopę w trakcie koszenia trawnika. – Wybucham wymuszonym śmiechem, desperacko próbując odwrócić uwagę od własnego dyskomfortu.

Mężczyzna nie śmieje się ze mną. Nawet się nie uśmiecha. Nie jestem pewna, czy mięśnie jego twarzy wiedziałyby, jak ułożyć się w taki grymas, nawet gdyby ich właściciel spróbował to zrobić. Ogromną dłoń zaciska w pięść, jakby na niewidzialnej smyczy, która w każdej chwili może się zerwać, trzymał swój gniew.

– Masz tupet, by ot tak tutaj przyjść. – Głos mężczyzny jest szorstki i jednocześnie ostry, jakby na śniadanie zjadał garść żyletek.

– Ja? – Moje brwi unoszą się proporcjonalnie do poziomu irytacji. – Ja jestem potencjalnym klientem. I to takim, który

dobrze zapłaci za twoje usługi ogrodnicze. Albo raczej zapłaciłabym, gdybym nie przyłapała cię na picie w pracy.

Dlaczego klóć się z tym przerażającym koleśkiem?

– Dlaczego zakładasz, że jestem ogrodnikiem? – Mężczyzna krzyżuje ręce na piersi, co podkreśla umięśnienie jego przedramion.

– Dlaczego? Widziałam twój samochód – mówię, a następnie macham przed nim ręką i wyjaśniam dalej: – A ty jesteś zbyt brudny, by zajmować się basenem. Gdybyś był dekarzem, miałbyś drabinę – prychnę, bo przecież to logiczne. – Nie jesteśmy też w twoim ogrodzie, więc jeśli nie zjawiliś się tutaj, aby okraść... – Gwałtownie przykładam dłoń do ust. – O mój Boże. Proszę, powiedz, że nie jesteś złodziejem.

Zbliża się do mnie, wyraz obrzydzenia wykrzywia rysy jego twarzy. Spojrzenie, jakim mnie obdarza...

Unoszę podbródek, nie mogę teraz okazać słabości. Nauczyłam się, że ustępowanie tylko pogarsza sytuację.

Maverick napina smycz, węszy, wielkimi oczami błaga nieznanego o pogłaskanie. Muszę użyć obu rąk, by utrzymać go w miejscu.

Jakiż z ciebie pies obrounny, Mav! Ten koleś zaraz mnie zabije, a ty próbujesz obwąchać mu krocze i się zaprzyjaźnić!

– Ty zadufana w sobie, pretensjonalna księżniczko. – Mężczyzna wskazuje na mnie palcem, odraza spływa z jego języka z każdą sylabą.

Otwieram usta, żołądek podjeżdża mi do gardła.

– Stoisz tu w tych swoich markowych ciuchach i butach, które kosztują więcej niż niejeden czynsz, i oceniasz ludzi z za tych pieprzonych, idiotycznych okularów. Jak śmiesz? – Kręci głową. – Mam brudne ubrania, bo haruję jak wół.

Jeżdżę starym gratem, bo mam ważniejsze wydatki na głowie. I jestem dorosłym mężczyzną, więc będę pić, kiedy mi się, kurwa, chce. Wy, bogaci sukinsyni, czujecie się lepsi od takich jak ja, ale prawda jest inna. Ja przynajmniej mogę z czystym sumieniem spojrzeć sobie w lustrze w oczy, bo nie żyję w kłamstwie. Wolę wyglądać obrzydliwie, niż być obrzydliwy, tak jak ty.

Słowa uderzają we mnie z siłą fizycznego ciosu, trafiają aż nazbyt celnie. Cała drżę, a zanim zdążę ją powstrzymać, łza wypływa spod moich okularów.

Czas iść.

– Przepraszam. – Odwracam się gwałtownie i wybiegam z podwórka, ciągnąc Mavericka za sobą.

Nogi niosą mnie przez trawnik tak szybko, jak pozwalają im na to buty na koturnie. Zbieram sukienkę w garść i podciągam ją powyżej kolan, by stawiać jeszcze dłuższe kroki.

Kiedy docieram do domu, zatraskuję za sobą drzwi i opieram się o nie plecami. Pierś unosi mi się i opada, dyszę, próbując złapać oddech, serce wali jak szalone. Szloch narasta, dławi, ale go powstrzymuję.

Maverick.

Łóżko king size.

Garderoba.

Kuchnia marzeń.

Basen przy domu.

Mercedes.

Pies skomle, trąca mnie zimnym nosem. Osuwam się na podłogę i obejmuję go ramionami, twarz chowam w jego miękkiej sierści.

– W porządku, Mav. Nic mi nie jest.

Wszystko jest w porządku.

Nie powinnam była się z nim konfrontować.

To moja wina, że go zdenerwowałam.

Gdy po kilku minutach głębokiego oddychania przyspieszony puls wraca wreszcie do normy, wstaję, zabieram z blatu konsoli torebkę i kluczyki do samochodu. Maverick podąża za mną.

– Przepraszam, kolego. Musisz zostać w domu. Jadę do sklepu. Robię dzisiaj wieczorem specjalną kolację dla twojego taty.

Całuję go w łebek, po czym ze spuszczoną głową wychodzę na zewnątrz. Nawet nie zerkam na furgonetkę zaparkowaną po drugiej stronie ulicy.

* * *

– Mmm, kochanie, to jest pyszne – mówi Paul.

Usta rozciągają mi się w uśmiechu.

– Pomyślałam, że zaskoczę cię dziś twoim ulubionym daniem.

– Wspaniale, dziękuję. – Przesuwa dłonią po ciemnym blacie stołu i splata nasze palce.

– Jak ci minął dzień?

– Jak mi minął dzień? – Poluzowuje krawat i ściąga go przez głowę, po czym rozpina kołnierzyk. – Dobrze. Spotkanie poszło dobrze. Myślę, że Harburger zdecyduje się podpisać z nami umowę.

– Świetnie!

– A jak terapia? – Przeciera kącik ust serwetką.

– Dobrze.

Jego jabłko Adama porusza się w górę i w dół.

– Czy, ehm, powiedziałaś jej o tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem?

– Poinformowałam ją o naszej decyzji, że przestajemy

się starać o dziecko. Ucieszyła się, że jesteście zgodni w tej sprawie, i uważa, że możemy ruszyć dalej.

– Nie o to mi chodziło, Cal.

– Och.

Pyta, czy powiedziałam jej o siniakach, które zostawił na moim ramieniu. Gapię się w swój talerz ze spaghetti.

– Nie, o tym nie wspomniałam.

– Dobrze. – Odkłada widelec. – Naprawdę jestem pewien tego, co powiedziałem ci wczoraj w nocy. To się już nigdy nie powtórzy.

Kiwam głową, niepewna, co powinnam odpowiedzieć. To nie był pierwszy raz, gdy podniósł na mnie rękę, ani też jedyny, gdy obiecał, że to się więcej nie wydarzy. Chciałabym mu to przypomnieć. Chciałabym zapytać, dlaczego czuje potrzebę krzywdzenia mnie, kiedy udowadnia swoje racje. Chciałabym zrozumieć, dlaczego nie panuje nad gniewem. Chciałabym wiedzieć, co się stało z tym miłym mężczyzną, którego poznałam na studiach. Chciałabym prosić, żeby poszukał pomocy u specjalisty.

Ale czasami milczenie jest łatwiejsze niż stąpanie po cienkim lodzie.

– Dzwoniłaś do weterynarza? – pyta i bierze widelec z powrotem do ręki.

– Tak. Powiedzieli, żeby go pilnować na podwórku, tak by nie miał okazji zjadać kupy. – Podnoszę kieliszek do ust i upijam spory łyk.

– Pytałaś, dlaczego to robi?

– Eee... – Żołądek mi się skręca. – Weterynarz uznał, że to może być spowodowane lękiem.

– Lękiem. Jak u ciebie.

– Tak. Spytał, czy byliśmy ostatnio pod wpływem silnego stresu, bo psy potrafią wyczuwać nasze emocje.

Na twarzy Paula pojawia się wyraz zrozumienia, a jego jasnobrązowe oczy patrzą na mnie twardo.

– I co mu powiedziałaś?

– Że wszystko u nas w porządku, oczywiście. Zasugerowałam podanie Maverickowi niewielkiej dawki leków uspokajających, ale stwierdziłam, że to niepotrzebne. Musimy go po prostu lepiej pilnować. Nic nie zje, jeśli będziemy mieć go na oku. – Zmuszam się do uśmiechu, klaszczę w dłonie i zmieniam temat: – Gotowy na deser?

Kręci głową, odsuwa krzesło i wstaje.

– Idę się przebrać. Mam kilka e-maili do wysłania.

– Oczywiście. Posprzątam tutaj. – Znika, zanim kończę zdanie.

Mogło być gorzej, wzdycham w myślach i zbieram talerze ze stołu.

Podczas płukania naczyń w zlewie spoglądam przez okno na ciemne podwórko. Altanka przy basenie przywołuje wspomnienie dziwnego porannego spotkania w ogródku Josie. Przez cały dzień próbowałam nie zaprzętać sobie głowy tym nieuprzejmym nieznanym, ale myśli same wciąż do niego wracają. Do tego, co powiedział.

Miał rację. Oceniłam go po wyglądzie i zbyt szybko wyciągnęłam wnioski. Nie powinien jednak zareagować aż tak agresywnie. Mógł się po prostu pośmiać, jak z głupiego nieporozumienia. Nie musiał na mnie naskakiwać. Ludzie przecież cały czas oceniają książki po okładkach. Do diabła, on to samo zrobił ze mną. Prawda? Widząc drogie ubranie i dodatki, zaliczył mnie do bogatych mieszkańców osiedla, i nic

o mnie nie wiedząc, nazwał mnie fałszywą. Powinnam uznać to za złośliwość i nazwać go palantem.

Ale jego słowa nie były puste.

Jestem fałszywa.

Żyję w kłamstwie.

Kim on jest i jakim cudem przejrzał mnie tak łatwo?

A co ważniejsze, czy Josie wie, że ktoś buszował dzisiaj po jej podwórku?

Wycieram dłonie i grzebię w torebce w poszukiwaniu telefonu. Zanim zdążę wystukać wiadomość, dostrzegam jedną już czekającą w skrzynce. Klikam ją i czytam tekst, który pojawia się na ekranie. Moja dłoń bezwiednie wędruje do ust.

Josie: Słyszałam, że poznałaś już mojego brata.



CALLIE

Przed domem Josie nie ma białej furgonetki.

Rozluźniam się i wzdycham z ulgą, po czym zamykam za sobą drzwi.

Prawie odmówiłam, kiedy Josie mnie zaprosiła. Sama myśl o włożeniu stroju kąpielowego po wczorajszym spotkaniu z jej bratem wydawała mi się proszeniem o kłopoty. Josie jest jednak moją najlepszą przyjaciółką i nie mogę się wiecznie przed nią ukrywać. Minęło kilka tygodni, odkąd ją ostatnio widziałam, więc nie wątpię, że spełni swoją groźbę i zapuka do moich drzwi, jeśli dziś nie przyjdę.

Staję na przyozdobionej monogramem wycieracze, a drzwi się otwierają, zanim zdolałam skorzystać z dzwonka.

– Dlaczego nie jesteś w stroju kąpielowym?

– Nie mam dziś ochoty na pływanie. – Spoglądam w dół, na swoją turkusową sukienkę, aby nie patrzeć Josie w oczy, gdy kłamię.

– A dlaczego, do cholery, nie? – Bierze się pod boki.

– Po prostu nie jestem w nastroju – odpowiadam i nonszalanckim krokiem wchodzę do przedpokoju.

– Cóż, horda jest na tyłach, więc posiedzimy przy basenie, zanim bliźniaki się nie obudzą. – Macha zapraszająco i pro-

wadzi mnie do kuchni.

Horda, o której mówi, to jej dzieci: Brandon, Miles, Lucas i Serenity. Brandon to prawie nastolatek, Miles jest niewiele młodszy. Bliźniaki mają po dwa lata i są żywym dowodem na to, że antykoncepcja okazuje się skuteczna tylko w 99,7%.

Josie nie była przygotowana na kolejne dziecko, nie mówiąc już o dwojce, ale przyjęła niespodziewaną ciążę ze spokojem, jak wszystko, co ją spotyka. Josie to istny wzór do naśladowania. Silna, otwarta, pracowita, kochająca żona i najlepsza matka. I oddana przyjaciółka. Dlatego robię, co w mojej mocy, aby ukryć przed nią prawdę o sobie.

– Weź napój. – Wskazuje stojącą na granitowym blacie kafełkę wypełnioną lemoniadą. Sama podnosi duży półmisek z wegańskimi przekąskami. – Dzisiaj małe potwory dostaną tylko zdrowe co nieco.

– Daj mi znać, jak to zniosły. – Chichoczę i otwieram przed nią drzwi na podwórkę.

– Poradzą sobie. – Josie podchodzi do stołu na patio i odstawia półmisek. – Jeśli chłopcy myślą, że mogą jeść cheetosy przez całe lato, to czeka ich niespodzianka.

– Ej! – krzyczy Brandon. – Cheetosy są pomarańczowe, tak jak marchewki. Czyli bardzo zdrowe!

– Widzisz, z czym muszę się mierzyć? – Josie unosi brew.

– Brandon, będziesz potrzebował lepszego argumentu. – Kręcę głową.

– Coś wymyślę – odpowiada, nieznacznie się garbiąc.

– Masz dziś taką ładną i naturalną fryzurę. – Josie okręca pasmo moich włosów wokół palca. – Powinnaś częściej je tak układać.

– Dzięki. – Chowam kosmyk za uchem. – Paul woli, kiedy

są proste.

– Callie! Patrz! – Miles szarżuje z pełną prędkością w kierunku basenu, a jego ciemne loki falują na wietrze. Kiedy dociera do krawędzi, wybija się w powietrze, przyciąga podbródek do piersi i robi salto, po czym ląduje w wodzie.

– Wow! Brawo, Miles! – Klaszczę, gdy się wynurza.

– Jakie noty dostanę?

– Hm. Wybicie było solidne. Jednak na końcówce obrotu wszedłeś trochę nieczysto. Daję dziewiątkę – mówię, stukając palcem wskazującym w brodę.

Z namysłem kiwa głową, traktując moją opinię tak poważnie, jakby brał udział w olimpiadzie. Przypuszczam, że tak się czuje, wечно obserwowany przez starszego brata.

– Następnym razem trzymaj kolana mocniej przy klatce piersiowej, a będzie pełna dycha.

– Poćwiczę. – Gdy wychodzi z basenu, uśmiech rozjaśnia mu twarz.

Cieszę się z całego serca. Kocham dzieci Josie tak, jakby były moje.

Moje.

Dzieci, których nigdy nie będę mieć.

Otrząsam się z tego małego ataku zazdrości i przywołuję do porządku. Tu nie ma miejsca na zawiść, tu jest miejsce tylko na miłość.

– A gdybym to ja mu tak powiedziała – zaczyna Josie, kładąc się na leżaku – kazałby mi się odpięprzyć.

– Nie zrobiłby tego! W tym domu to ty masz niewyparzoną gębę.

– Fakt, Dan tylko czeka, aż któreś z dzieci zacznie przeklinać jak ja. – Unosi brew. – Też czekam, bo obiecał, że to

ja dostanę wtedy klapsa, a nie dziecko.

– Jesteś zboczona. – Odrzucam głowę do tyłu i wybucham śmiechem.

Z trzeszczącego głośnika elektronicznej niani dobiega zsynchronizowany płacz maluchów wybudzających się z drzemki.

– Cholera jasna! Ledwie usiadłam.

– Przyniosę je. – Wstaję z krzesła, dłonią pokazując jej, by się nie ruszała.

– Dziękuję. Jesteś najlepszą przyjaciółką, Callie. – Josie opada z powrotem na poduszkę.

– Mamooo – jęczy przeciągle Brandon. – Przecież ci mówiłem, że nikt już tak nie mówi.

Uśmiecham się, wchodząc do domu.

Krzyki Lucasa i Serenity stają się głośniejsze, gdy wspinam się po krętych schodach, ale kiedy tylko dzieci słyszą trzask otwieranych drzwi sypialni, milkną i wyglądają przez szczebelki.

– Myślałam, że mamusia już was nie kładzie spać w łóžeczkach dla dzidziusiów.

– Lucas nie dzidzia! – krzyczy Lucas.

– Oczywiście, jesteś dużym chłopcem, prawda? – Uśmiecham się i biorę go na ręce.

– Lucas duży chłopiec! – Jego pulchne, nagie nogi owijają się wokół mojego biodra, gdy go kołyszę.

Serenity wodzi za mną wzrokiem ze swojego łóžeczka, wielkie brązowe oczy chłoną wszystko. Ona i Lucas są jak dzień i noc. Lucas to czysta energia. Głośno i uparcie domagający się całej uwagi. Ma to po matce. Serenity wręcz przeciwnie. Cichy, nieśmiały obserwator.

Unoszę Lucasa i obwąchuję.

– Kupa. – Chichocze.

– Tak. – Marszczę nos. – Zdecydowanie kupa.

Kładę go na przewijaku i oddycham przez usta, kiedy po-
zbywam się mało aromatycznej niespodzianki.

– Dobrze spałeś, Lucas?

– Nie chcę spać! Nie zmęczony!

Śmieję się, zapinam mu śpiochy i sadzam go przed
skrzynią z zabawkami. Jego siostra już wyciąga do mnie
rączki, wie, że przyszedł czas na nią.

– A ty, słodka Serenity? – Obejmuję ją ramionami i wdy-
cham jej idealny zapach malucha. – Dobrze spałeś?

Kiwa główką, wkładając kciuk do buzi. Kładę ją na pod-
kładce i łaskoczę po brzuszku, a ona się wierci i uśmiecha,
wciąż z palcem w ustach.

Nie mam nic przeciwko zmienianiu pieluch. Wiem, że my-
ślałabym inaczej, gdybym miała własne dzieci. Opieka nad nimi
bywa wyczerpująca i łatwo jest nie doceniać codziennych przy-
ziemnych zadań. Zwłaszcza gdy stają się rutyną. Ale po tym,
co przeszedłam? Delektowałabym się każdą śmierdzącą kupką.

Zawsze myślałam, że w tym wieku będę już miała własną
rodzinę. Wyobrażałam sobie inne życie dla siebie i Paula. Ale
marzenia nie zawsze się spełniają. A czasami stają się kosz-
marami i nawiedzają nas, by przypominać o tym, czego nigdy
nie będziemy mieć, bez względu na to, jak bardzo się staramy.

– Czyściutko. – Biorę Serenity z powrotem w ramiona
i przytulam ją mocno.

Jej malutkie paluszki owijają się wokół kosmyka moich
włosów.

– Ładne.

– Ty też masz ładne włoski. – Bawię się jednym z jej ciem-

nych loczków.

Wtedy Lucas wstaje i uderza dłonią w drzwi.

– Głodny! Jeść!

– Dobrze, ty malutki tyranie. Chodźmy coś przekąsić.

Balansując Serenity na jednym biodrze, przytulam Lucasa do siebie. Zaczyna wykrzykiwać: „Jeść! Jeść!”, a kiedy docieramy do basenu, skandujemy to hasło już we troje.

– Są moje maluszki! – Josie rozkłada szeroko ręce, a Lucas wyrwywa się z objęć i rzuca w stronę matki.

Serenity macha jej maleńką łapką, ale nadal tkwi spokojnie w moich ramionach. Jej wzrok przyciągają pluski z basenu, a gdy dostrzega w nim starszych braci, wskazuje na nich palcem.

– Możesz popływać po zjedzeniu obiadu – mówię, siadając, i sadzam ją sobie na kolanach. – Jesteś głodna?

Kiwa główką i wysuwa kciuk z ust.

– Więc... – zaczyna Josie, podając Lucasowi tartą marchewkę, którą ten zaczyna wcinać. – Opowiesz mi, co się tu wczoraj wydarzyło z moim bratem?

– Tak mi wstyd. – Wzdycham i zakrywam oczy dłonią.

– Niepotrzebnie. To Cole powinien się wstydzić.

– Co właściwie ci powiedział? – pytam, rozdrabniając pierś z indyka dla małej.

– Że wzięłaś go za ogrodnika i że go to zdenerwowało. – Wzrusza ramionami. – Jest małomówny. Miałam nadzieję, że ty mi więcej zdradzisz.

– Zauważyłam zdezelowaną furgonetkę na twoim podjeździe i nieznanomego mężczyznę wchodzącego do ogrodu, więc uznałam, że znalazłaś nowego ogrodnika. Wpadłam zapytać go o ofertę i dla nas, ale zobaczyłam, że pije piwo.

– Kręcę głową. – Nie powinnam była go zaczepiać. Jest mi tak głupio.

– Nie zrobiłaś nic złego – prycha Josie. – Widziałam, jak Cole wyglądał, kiedy wróciłam do domu. Na twoim miejscu pomyślałabym to samo.

– Ale czuję się z tym źle. Wydawał się taki... wściekły. – Unoszę lekko ramię, a potem je opuszczam.

– Przechodzi teraz przez trudny okres. – Jej oczy wędrują po twarzy Lucasa, kąciki ust nieznacznie opadają. – Zazwyczaj nie jest dupkiem. Po prostu trafiłaś na niego w nie najlepszym momencie.

Czuję ciężar w klatce piersiowej, gdy przypominam sobie jego wyprostowane ciało, napięte mięśnie, a w oczach burzę wściekłości.

Co mu się stało?

– Nigdy o nim nie opowiadasz – mówię. – Jesteśmy przyjaciółkami od pięciu lat, a nie pamiętam, żebyś choć raz wypowiedziała jego imię.

– Pokłóciliśmy się, kiedy tata zmarł. Po pogrzebie Cole powiedział mi kilka okropnych rzeczy. Ma do mnie żal, bo nie odwiedzałam rodziców wystarczająco często, gdy zachorowali.

– Przecież byłaś w ciąży z Milesem, a Brandon skończył wtedy dopiero roczek. Jak niby miałabyś tam często bywać?

Kiwa głową, ale widać, że nie do końca się z tym zgadza.

– Dlaczego więc zjawił się tu teraz, tak nagle? – pytam.

– Jego była żona i jej obrzydliwie bogaci rodzice zabrali mu wszystko w trakcie rozwodu. Potrzebował miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać, więc uznałam, że na jakiś czas zamieszka w naszym domku przy basenie.

– A ja powiedziałam mu, że wygląda jak bezdomny. –
Wzdrygam się. – Świetnie. Po prostu rewelacja.

– Świetnie, Callie! – powtarza Lucas.

– Nic się nie stało. – Josie chichocze. – Zapomnij o tym.
Wpadnij z Paulem na kolację dzisiaj wieczorem. Poznasz
Cole'a i przestaniesz się czuć tak niezręcznie. Całe to nie-
potrzebne napięcie zniknie.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. – Przygryzam
dolną wargę.

– Dlaczego nie? Dawno u nas nie byliście. Zaczynam
myśleć, że znaleźliście inną parę do chodzenia na po-
dwójne randki.

– Nie, nie znaleźliśmy. – Śmieję się. – Po prostu... Paul jest
na diecie oczyszczającej, więc nie może pić alkoholu aż do
Czwartego Lipca.

– Wiesz, mamy wodę i mrożoną herbatę. – Unosi brew.

– No tak, ale nie chcę przysparzać ci dodatkowej roboty
i zmuszać cię, żebyś gotowała coś zdrowego specjalnie dla
niego. Wpadniemy do was na imprezę w przyszłym tygo-
dniu, w Święto Niepodległości.

– Basen! Lucas pływa! Teraz!

– Musisz przestać mówić o sobie w trzeciej osobie, Lucas.
To jest urocze tylko przez chwilę, a ty już przekraczasz
granice. – Josie stawia go na trawie i zakłada mu wodood-
porną pieluszkę.

– Ty zajmiesz się Serenity, a ja powalczę z tym byczkiem
– zarządza, po czym rzuca mi butelkę kremu do opalania.

– Lucas nie krem! Lucas nie krem! – Chłopiec próbuje
uciec, ale Josie go chwytą.

– Lucas potrzebuje kremu, więc się nie ruszaj.

– Nie ruszaj się!

– Jesteś mała papuga, wiesz?

Tłumię chichot i wyciskam mleczko do opalania na dłoń. Serenity siedzi spokojnie i obserwuje, jak jej brat się rzuca.

– Hej, Lucas – mówię przez ramię. – Jeśli nie posmarujesz się kremem, będzie aua.

– Lucas aua? – Marszczy brwi, kiedy patrzy na mnie z niedowierzaniem wypisanym na słodkiej, pulchnej twarzy.

– To prawda – potakuję. – Słońce może sparzyć jak ogień. A krem z filtrem cię ochroni.

– Ogień parzy. – Jego oczy się rozszerzają, a ciało wreszcie nieruchomieje.

– Sprytne, Callie – szepcze Josie. – Widzisz, właśnie dlatego lubię mieć cię w pobliżu.

– Dobrze, Serenity, skarbie. Gotowa do pływania? – Mrugam do niej porozumiewawczo.

Uśmiecha się i chwyta w piąstki mój sweter, gdy biorę ją w ramiona. Kiedy stawiam ją na trawie przy basenie, ciągnie go w dół razem ze sobą.

– Callie, twoja ręka! – Josie wciąga gwałtownie powietrze.

– Och, wiesz przecież, jak łatwo się siniaczą. – Czuję, że serce podchodzi mi do gardła. Pospiesznie wkładam z powrotem kardigan.

Z wierzgającym w jej w ramionach Lucasem przyjaciółka dwoma długimi krokami przemierza dzielący nas dystans.

– To nie jest mały siniak! Co się stało? Dlatego nie chciałeś dziś pływać w basenie?

Odrącam jej dłoń, gdy próbuje nią sięgnąć pod mój sweter.

– Paul był ostatnio trochę szorstki – tłumaczę ściszone głosem. – Podczas seksu. Nie róbmy, proszę, z tego wiel-

kiej sprawy.

– Czyli szorstki w tym dobrym znaczeniu? – Na twarzy Josie wciąż widzę niepokój.

– Nie zdawał sobie sprawy, jak mocno mnie złapał – ciągnę z wymuszonym uśmiechem.

– Cholera, Callie. – Wyrywa się jej westchnienie ulgi. – Jesteś bardziej zboczona ode mnie.

– O nie! – Parskam śmiechem.

– Chodź, Serenity. – Brandon klepie dłońmi w betonowy rant basenu. – Chodź popływać ze starszym bratem.

– Ja... pływać? – Serenity przekrzywia głowę, aby spojrzeć w górę, na matkę.

– Tak, moja mała dziewczynko. – Josie klęka i całuje ją w czoło. – Popływasz z Brandonem.

Zbieram sukienkę wokół kolan i siadam na murku, zanurzam stopy w zimnej wodzie. Josie wchodzi z Lucasem do płytkiej części, a rozmowa o moich siniakach odchodzi w zapomnienie. Uwielbiam pływać. Paul wybudował basen, kiedy tylko wprowadziliśmy się do naszego domu. Oboje mieliśmy wizję pluskania się w nim z naszymi dziećmi i zapraszania ich przyjaciół na wodne zabawy przy basenie. Teraz po prostu co roku wyrzucamy pieniądze w błoto na jego utrzymanie.

O trzeciej pomagam Josie posprzątać i przygotowuję się do powrotu do domu.

– Dzięki za cudowny dzień – mówię, obejmując Josie i ścisnąjąc ją mocno.

– Wiesz, że możesz mi o wszystkim powiedzieć, prawda? – pyta, odepchnąwszy mnie na wyciągnięcie ramion, i patrzy mi w oczy.

– Oczywiście.

– I wiesz, że pomogłabym ci we wszystkim, bez względu na to, co to by było?

Kiwam potakująco głową.

Wpatruje się we mnie jeszcze przez chwilę, a potem jej twarz rozpromienia się w uśmiechu.

– To dobrze. Do zobaczenia wkrótce! – woła.

Gdy tylko przekraczam próg jej domu, z ulgą wypuszczam wstrzymywane dotychczas powietrze.

Było blisko. Zbyt blisko.

Powinam być ostrożniejsza.

Jeśli Josie się dowie, nie ma mowy, żeby dochowała tajemnicy.

Muszę wrócić do domu i uwolnić się od ciekawskich spojrzeń przyjaciółki. Ruszam pospiesznie ścieżką, idę ze spuszczoną głową i nie podnoszę wzroku, dopóki się z kimś nie zderzam. Okulary przeciwsłoneczne spadają mi i lądują na betonie.

– Przepraszam bardzo – zaczynam, ale sztywniej, kiedy dostrzegam, na kogo wpadłam. Jakbym była bezradnym obserwatorem przyglądającym się nadchodzącej fali. Nie mam dokąd uciec, nie mam gdzie się ukryć.

Cole kuca i podnosi moje okulary z ziemi. Potem się prostuje i uważnie ogląda szkiełka. Ma na sobie tę samą poplamioną odzież i nisko naciągniętą czapkę co wczoraj. Gdy patrzy mi w oczy, bije od niego tak intensywna energia, aż pozbawia mnie oddechu. Przebywanie w jego pobliżu przypomina porażenie prądem.

– Wygląda na to, że nie są porysowane, księżniczko – mówi, podając mi okulary.

Księżniczko?

– W porządku. I tak są idiotyczne, pamiętasz? – Chwytam okulary i próbuję go wyminąć.

– Zaczekaj.

Jego dłoń wystrzeliwuje w kierunku mojego nadgarstka, ale ja instynktownie szarpnię się do tyłu i odchylam, wystraszona tak nagłym ruchem.

– Ej! – Unosi ręce. – Nic ci nie zrobię.

– Czego chcesz? – Wbijam wzrok w swoje stopy, policzki płoną mi ze wstydu, że mnie tak zaskoczył.

– Jestem ci winny przeprosiny. – Wzdycha ciężko, jego szerokie barki unoszą się i opadają. – Siostra powiedziała mi, że jesteś jej przyjaciółką. Przepraszam za to, jak się do ciebie odnosiłem.

Powinnam przyjąć przeprosiny i iść dalej. Ale jego postawa budzi we mnie coś, co powinnam zignorować i pozostawić uśpione. Dobrze wiem, że lepiej unikać konfrontacji. Takie zachowanie wpędza mnie tylko w kłopoty.

– Przepraszasz, bo przyjaźnię się z twoją siostrą? Czy dlatego, że to, co powiedziałeś, było niegrzeczne i raniące?

– Z obu powodów. – Zaciska szczęki, mięśnie napinają się pod jego skórą.

– Bo to było – patrzę teraz prosto w jego oczy – niegrzeczne i raniące.

– Dlatego przepraszam.

– Ale wczoraj mówiłeś poważnie, prawda? To znaczy, nie powiedziałbyś tego, gdybyś tak nie myślał.

– Oceniłaś mnie po wyglądzie, tak samo jak ja oceniłem ciebie. Ale jakoś nie słyszę, żebyś ty przepraszała – stwierdza, lekko odchylając się do tyłu.

– To było nieporozumienie. Nieznany mężczyzna wchodzi

do ogrodu mojej przyjaciółki, cały wybrudzony. Za kogo miałam cię uważać?

– Wiesz, co mówią o ocenianiu książki po okładce, księżniczko. To bardzo nieładnie z twojej strony.

– To ty uważasz, że wiesz wszystko o życiu ludzi, o których nie wiesz nic – szydę, z dłonią podpartą na biodrze.

– Czyli twoje okulary nie kosztowały kilkaset dolarów? – prychna, po czym wskazuje na moje sandały i dodaje: – A te buty nie kosztowały tyle, co rata za samochód? Znam ludzi takich jak ty lepiej, niż myślisz.

– Może zajmij się własnymi problemami, zamiast przemawiać się tym, na co wydaję swoje pieniądze? – odgryzam się, machając mu palcem przed nosem.

Podnosi dłoń, a ja instynktownie zasłaniam się przedramieniem.

– Cholera! – mamrocze i poprawia czapkę, bo po to uniósł rękę. – Dlaczego jesteś taka nerwowa?

– Nie jestem nerwowa. Sam jesteś nerwowy!

– A to ci się udało. – Kącik ust mu drga, a oczy błyszczą zabawieniem.

Z mojego gardła dobywa się pomruk frustracji. Ten człowiek jest irytujący.

– Po prostu... zostaw mnie w spokoju. Przeprasiny przyjęte. – Wymijam go. – Było, minęło.

Przechodzę przez ulicę, każdy nerw w moim ciele drży, żar pali mnie w środku.

Josie myliła się co do brata.

Ten facet to dupek.

To, co pozostało
Copyright © Kristen Granata
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the translation by Marcin A. Dobkowski
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Tytuł oryginału: What's Left of Me
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2024 r.

książka ISBN 978-83-7995-657-9
ebook ISBN 978-83-7995-658-6

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Tłumaczenie: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Joanna Błakita
Korekta: Paulina Kalinowska
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Ewelina Nawara
Skład i typografia: proAutor.pl

*Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, foto-
optycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana
w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.*

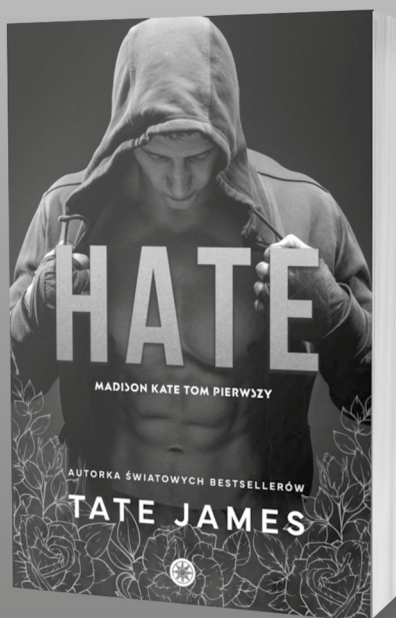
MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

Książkę i ebook najtaniej kupisz na: www.MadBooks.pl



Gorący romans New Adult
z motywami odwróconego haremu,
od wrogów do kochanków i od
nienawiści do miłości.

#ROMANSWSPÓŁCZESNY
#ODWRÓCONYHAREM



To nie jest prosta romantyczna opowieść o namiętnej miłości nieśmiałej dziewczyny i gwiazdy rocka. Ta seria wciągnie cię od pierwszej strony!

#romansmuzyczny #romanswspółczesny



Gorąca, nieprzewidywalna seria
mafijna, idealna dla fanek
niegrzecznych książek!

#ROMANSWSPÓŁCZESNY
#ROMANSMAFIJNY



Pełna emocji, romantyczna seria
osadzona w małym miasteczku,
która wzruszy do łez i na długo
zostanie w pamięci!

#ROMANSWSPÓŁCZESNY
#ROMANSMAŁOMIASTECZKOWY

